

# Karasje wędrowne

Autor: Jacek Józwiak

O łowieniu karasi w nadrzecznych dołkach - lekka spławikówka, zanęta w woreczku u pasa, czerwony robaczek... I wędrówka w poszukiwaniu najlepszego miejsca.

No cóż, ja już tak nie będę, ze względu na kontuzję, ale jeszcze kilka lat temu uwielbiałem latem wędrownie zapolować na karasie... Potrzebna mi była do tego jakakolwiek rzeka, która pozostawiła po sobie liczne starorzecza, dołki, kałuże wręcz...

Nie interesowały mnie duże, rozległe i głębokie akweny, w których polowało się na szczupaki i inne wielkie ryby, ale dołki o niewielkiej powierzchni, niemalże baseniki - byłem tylko wiedział, że woda utrzymuje się w nich przez cały rok. Znajdowałem je i nad Wisłą, i nad Bugiem, Narwią Wkrą, Pilicą. Właściwie nad każdą dużą i średnią rzeką...

Przygotowanie do takich wycieczek nie było specjalnie trudne - trzeba było sprawić sobie spławikowy zestaw z kolcem jeżozwiera (nie ma lepszego sygnalizatora), kupienie kalifornijek rozmiaru piccolo, naszprycowanie ich fusami od kawy i przygotowanie zanęty, po której karasje dostają fioła...

Jaka to zanęta? No droga... Trzeba kupić kilka kilogramów najtańszych pierników na wagę, wysuszyć je na sżywno i ześrutować. Ja "śrutowałem" je młotkiem w grubej lnianej ścierce, śrutę dodawałem do jakiegokolwiek bazy, wrzucałem odrobinę kleju PV do zanęt i przed wyjściem na wyprawę przygotowywałem w domu (na wodzie oligoceńskiej), dodając do mieszanki trzy szklanki sparzonej pszenicy.

I koniecznie białe robaki, jeśli nie było rasowej pinki, to kupowałem na nieboszcze giełdzie na Twardej robaki "przeleżałe", czyli z dużą domieszką casterów.

A potem zaglądałem do każdego dołka w międzywalu na Wiśle, lub obławiałem wszystkie płytkie końcówki bużańskich rzeczysk. Niekiedy przełaziłem w ten sposób kilkanaście kilometrów w ciągu dnia, później przejeżdżałem nawet dłuższe trasy na rowerku. Nigdy niemal nie wracałem bez rybek (ja bardzo lubię karasje i je zjadam - za najlepsze uważam smażone w occie mocno trąconym kminkiem).

Samo łowienie bardzo proste - nad każdym dołkiem, najlepiej w miejscu przy zatopionych krzakach i drzewach wrzucałem gulałkę zanęty, a zaraz potem czerwonego robaczka. No, a potem tylko eksperymenty z gruntem, bo karasje biorą na różnej głębokości. Ciekawe jest to, że łowi się w takich kałużach zarówno "pieniążki" (tak nazywają karasje złociste miejscowi znad Pilicy), jak i japońce. Często z jednego dołka.

I jeszcze jedno - nie trzeba bać się wody "zakwitłej", karasiom mętność nie przeszkadza. Proszę sobie wyobrazić, że piękne efekty miałem w kałużach o mlecznobiałej barwie, które można było znaleźć jeszcze niedawno przy wysypiskach popiołu z Elektrociepłowni Żerań.